

W dyskusji, toczącej się od dłuższego czasu na temat sytuacji w teatrze polskim, głos zabierają nie tylko teoretycy, ale i praktycy: aktorzy i reżyserzy. I tak m. in.

Ignacy Gogolewski wysuwa postulat zróżnicowania repertuaru, stwierdzając, że „jest ogromne zapotrzebowanie na musical. Proszę mi jednak wskazać tych, którzy podejmą się tego arcytrudnego zadania i do jakiego stopnia będzie to opłacalne i docenione...”.

Cytuję tę wypowiedź dlatego, że ukazała się ona w „Życiu Warszawy” niedawno w dzień premiery musicalu „Leztern”, z którym wystąpił nasz Teatr 7.15.

Oceniając tę zabawną parodię amerykańskiego westernu, można by zastosować tu taryfę ulgową z dwóch powodów. Po pierwsze, że jest to (nareszcie!) sztuka autorów łódzkich: tekst napisali Feridun Erol i Roman Gorzel-

kowbojskich bijatyk i dyskretniejszych podtekstów, to prawdziwa lawina melodii i piosenek odśpiewanych we wściekłym wręcz tempie. Aliści efektów tych nagromadzono w nadmiarze. Można powiedzieć, że była to „kleśka urodzaju twórczego i odwórczego”, ponieważ ramy sali Teatru 7.15 są zbyt ciasne, ażeby pomieścić tyle dynamiczności i przybudówek. Jednak w II akcie autorzy bardzo pomysłowo, nie mniej oszczędnie już mnożą efekty. Jego gęstość zostaje rozładowana, spektakl zaczyna nabierać właściwej wagi, ażeby apogeum zabawy osiągnąć w III akcie, zakończonym wręcz niesamowitym w swoim tempie i brawurze finałem akłaskiwanym manifestacyjnie przez naszych miłośników musicalu. A więc sukces, a więc naprawdę udany debiut autorów łódzkich!

Naturalnie do sukcesu tego przyczyniły się: pomysłowa reżyseria F. Erola,

„Leztern”

ści, muzykę zaś skomponował Piotr Hertel. Po drugie zaś, że wykonawcami byli nie aktorzy estradowi czy operetkowi — lecz dramatyczni.

Napisałem „można by”, nie trzeba tu jednak szukać „okoliczności łagodzących”, albowiem spektakl obronili sami autorzy i aktorzy, przy czym szczególnie mocno prezentuje się strona muzyczno-wokalna, a więc najbardziej w musicalu zasadnicza.

Akcja rozgrywa się w wymyślnym kraju Forellano, położonej gdzieś w Ameryce. A ponieważ Ameryka to właściwie zbieg różnych narodowości, występują tu: Szkot, Francuz, Polak, Rosjanin, Niemiec, Hiszpan, Irlandczyk oraz rdzenni jankesi, przy czym każdy z nich reprezentuje — zresztą bez specjalnych przejawów — najbardziej charakterystyczne cechy danej nacji: jej temperament, psychikę i hobby, jej piosenki i tańce.

Akt I, którego rytm ustala współczesna, bardzo dynamiczna muzyka P. Hertla, to spiętrzenie koloru i humoru,

i P. Hertla, barwna scenografia J. Groszanga, dynamiczna choreografia B. Fijewskiej i znakomicie zróżnicowane kreacje aktorów, którzy przez dwie i pół godziny — wykazując przy tym ołbrzymią sprawność fizyczną — grali, śpiewali, i tańczyli. Każdy z nich był przy tym solistą podczas eksponowania swojej kwestii, kiedy zaś kończył, stawał się akompaniatorem solisty następnego...

Po tak pochlebnym uogólnieniu artyści nie wezmą mi chyba za złe, że wielki ich wysiłek aktorski skwituję tylko wymienieniem ich nazwisk. Grali więc: M. Szargan (Menager), J. Te-szarz (Wielki Barman), A. Krawczykówna (Wielka Córa Wielkiego Barmana), B. Marszałek (Ann), G. Marzec (Mary), J. Kruk (Mac Owiec), M. Malek (Mr Brock), K. Obidniak (Grogeux), H. Józ-wiak (Pastor O'ko), St. Kwaśniak (Jan Kowal), I. Kaskiewicz (Ivangogg), K. Różycki (Juan Lopez Ortega) i A. Her-der (Szwarc).

M. JAGOSZEWSKI